№ 26. Warszawa, Środa 14 (26) Lipca 1876 r. Rok I.

WARUNKI PRENUMERATY.
w Warszawie:
Rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1, miesięcznie kop. 35.
Za odnoszenie do domu, dopłaca się kopiejek 5 miesięcznie.

ANTRAKT

GAZETA TEATRALNA

WARUNKI PRENUMERATY.
na Prowincji:
Rocznie rs. 6, półrocznie rs. 3, kwartalnie rs. 1 kop. 50.
Numer pojedynczy kop. 5.

wychodzi codziennie, nie wyłączając Niedziel i Świąt.

BIURO REDAKCJI ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 415 (15) w Pałacu, Hr. St. Potockiego.
KANTOR GŁÓWNY i EKSPEDYCJA ul. Miodowa Nr. 496, w Zakładzie Fotograficznym J. Mieczkowskiego.

CENA OGŁOSZEŃ w SAMYM ANTRAKCIE.
Jeden wiersz, petitem, lub jego miejsce, na jeden raz kop. 10, na 3 razy kop. 20, na 6 razy kop. 30.
Cena ogłoszeń w DODATKU o połowę mniejsza.

Reklamy przyjmują się po kop. 15 od wiersza.

Dziś św. Anny Matki N. M. P.
Jutro św. Natalji P. i Pantaleona.

× Malkontenci utrzymują iż Warszawa jest miastem zgorszenia, siekiem zepsucia, gniazdem niemoralności i stałem miejscem zamieszkania złego ducha. Że to jest najprawdziwsza nieprawda, o tem może się przekonać każdy kto kiedykolwiek miał sposobność przechodzić przez ulice naszego kochanego miasteczka o godzinie pierwszej w nocy.

O tej porze całe miasto już śpi, a wiadomo powszechnie, że kto śpi ten nie grzeszy. Na ulicach panuje egipska ciemność, ponieważ towarzystwo gazowe zamyka swój sklepik o tej porze i wszystkie latarnie gasną. Szczury przechadzają się swobodnie po rynsztokach szukając pożywienia, wygłodniałe kociska miauczą na dachu, a uroczysty spokój przerywa turkot powracającej dryndy, lud odgłos niepewnych kroków zbachusowanego obywatela, który do drzwi swego domostwa na żaden sposób trafić nie może. I czyż takie miasteczko, należy nazywać Babilonem — stolicą zepsucia? Wstydźcie się panowie pessymiści, i powstrzymajcie wasze zapalczywe a niesłuszne sądy.

—

× Już przed półrokiem, reżyserja zamierzała wznowić ulubioną dla wesołej publiczności „Sztukę przypodobania się“, w której niegdyś nieboszczka Ziemińska tak nieporównanie grywała rolę margrabiego Letorier'a odziedziczoną później przez ś. p. Bakałowiczową. Gdy jednak w składzie personelu żeńskiego nie było dotąd artystki mogącej tę rolę odegrać godnie, po dwóch tak znakomitych poprzedniczkach, musiano zaniechać wznowienia. Obecnie, podobno pani Zimaier zamierza debiutować w tej roli. Debiut ten opóźniony przez słabość p. Borkowskiej, teraz już gdy artystka ta odzyskała zdrowie, zapewne do skutku przyjdzie.

—

× Dziś na scenie Teatru letniego debiutować będzie artystka prowincjonalnych teatrów panna Biron, oraz p. Stromfeld dawniej artysta sceny krakowskiej. Panna Biron wystapi w komedji „Radcy pana Radcy,“ a pan Stromfeld w obrazku scenicznym p. t. „Na ulicy.“

—

× Na tegoroczny sezon do teatru opery włoskiej w Petersburgu, oprócz Adeliny Patti, zaangażowaną została sławna śpiewaczka Paulina Lucca.

—

× (*Art. nad.*) Szanowny Redaktorze! Pozwól mi za pośrednictwem twego pisma zwrócić uwagę pana Fliegego, zwykle tak starannego w wyborze grywanych przez jego orkiestrę dzieł muzycznych, na niewłaściwość egzekwowania takich nędz muzycznych, jaką była grana onegdaj Fantazja na flet ułożona z tematu jednego z najpiękniejszych i z najpoważniejszych dzieł Chopina „Marche funébre“. Jakiemuś p. Demersemanowi wolno dla swojej satysfakcji pisać podobne niedorzeczności, bo czyż nie jest to niedorzecznością w muzycznem znaczeniu, z tchnącego powagą, rzewnością i odpowiedniego, chyba na organ lub fisharmonję śpiewu, brać temat do kompozycji na flet, który z natury swojej do wyrażania powagi i rzewności wcale nie jest zdolnym? Czy nie jest wreszcie grzechem kaleczyć w podobny sposób dzieło mistrza, a na domiar jeszcze kazać publiczności słuchać podobnych nonsensów?

Jeden z miłośników muzyki.

—

× Podczas, kiedy warszawski *High-life* zachwyca się arystokratycznym Fliegem, średnie mieszczaństwo i rzemieślnicy biją zamaszyste brawa ulubieńcowi swemu... Pavleczkowi.

— *Qu' est-ce que c'est* Pavleczek?

Pavleczek jest to dyrektor orkiestry czes-

ZEMSTA.

OBRAZEK Z ŻYCIA MIEJSKIEGO.

(*Dokończenie*)

Było to już przy końcu karnawału.

Warszawa szalała wesołością i gwarem. Po brylantowym śniegu, przy jasnym świetle księżyca, żwawo mknęły sanie rozwożąc tysiące młodych i starych, pięknych, przystojnych i brzydkich istot, wystrojonych, upstrzonych, i nadzieją zabawy uśmiechniętych radośnie.

Bawiono się dla siebie i dla drugich, matki dla córek, córki dla siebie i dla matek, bawiono się i dla ubogich; słowem, cały karnawał zamienił się w jedno słowo — bawić, odmieniane przez wszystkie osoby, czasy i tryby.

Każda *osoba* korzystała z *czasu*, i bawiła się swoim *trybem*. Tylko w saloniku pani Apolinarowej było chłodno i ciemno, a w przyległym pokoju siedziała pani domu sapiąc i robiąc pończochę, i co chwila spoglądała ku drzwiom, w których spodziewała się jrzeć wracającego męża.

Obok niej siedziało młodziutkie ładne dziewczę, pilnie zajęte haftem.

Zegar spokojnie wydzwonił ósmą.

— Mateczko, rzekło dziewczę, czy u nas nigdy nie będzie wieczoru?

— Jakto? spytała matka, jakiego ty chcesz wieczoru. Wszak wczoraj był wieczór, dziś go nie brak, i jutro przyjdzie gdy dzień się skończy.

— Ale bo widzisz, mateczko, rzekła dziewczyna, ja mówię o takim wieczorze, na którym się gości zaprasza, i zabawić się można, i potańczyć wesoło.

Pani Apolinarowa nie zdążyła dać stosownej odpowiedzi, gdyż drzwi otworzyły się szeroko, i wszedł rumiany, uśmiechnięty pan Apolinary.

Powitał wesoło żonę i córkę, i z tryumfem położył na stole sporą paczkę związaną wstążeczką koloru tęczy.

— Co to jest? spytała żona.

— A bo to widzisz, Franciszko, rzekł zapytany, dziś jest tłusty czwartek i dwudziesta rocznica naszego ślubu. Chciałem wam zrobić przyjemność, i kupiłem zgadnij co? No, zgadnij i ty Zosiu, figlareczko, rzekł zwracając się do córki.

Pani Apolinarowa zachowała groźne milczenie, a Zosia przyglądała się paczce.

— Nie wiem, ojczulku, rzekła, nie mogę odgadnąć.

— Oto przyniosłem wam piętnaście pączków rzekł wesoło, stawiając na stole buteleczkę czerwonego wina, i tego eliksiru na pokrzepienie sił.

— Piętnaście pączków, po trzy kopiejki, to 45 kop., wino 60 kop., to rs. 1 k. 5—mój Boże! gdybym dołożyła 45 kop., miałabym na bułki przez cały miesiąc.

— Ja też to kupiłem z własnych oszczędności, tłomaczył się mąż.

— Oszczędności! jakie ty możesz mieć oszczędności... Gdyby nie ja, wszystko zmarnowałoby się w twoich rękach. Miałam majątek, to zawdzięczam moim rodzicom, ale że go mam dziś jeszcze, za to tylko samej sobie podziękować mogę, gdyż ty...

— Duszeczko, rzekł łagodnie pan Apolinary, w małżeństwie wszystko jest wspólne.

— A wiem, wiem aż nadto o tem, przekonałam się o tej smutnej prawdzie w kilka dni po ślubie, gdy przyszedł do mnie krawiec upominając się o zapłatę za twój ślubny garnitur. Było to pamiętam jak dziś...

Pan Apolinary przyzwyczajony widać do podobnych opowieści, poustawiał kieliszki mało na mowę żony zwracając uwagi, i ułożył pączki na pozłacanym koszyczku. Potem nalał w kieliszki purpurowego płynu i zawołał donośnym głosem.

— Zdrowie najukochańszej Franieczki, na pamiątkę dwudziestoletniego pożycia!!

W tej chwili drzwi otworzyły się z łoskotem i ukazały się oczom zdumionych biesiadników sylwetki czterech mocno zakapturzonych postaci, poowijanych w chustki, szale i szaliki.

— Otóż jesteśmy, i to zapewne najpierwsze, zawołała jedna z nich, zrzuciwszy z siebie salopkę i mnóstwo przeróżnych szalików, jesteśmy, choć to tak daleko do państwa, a mróz doprawdy nie żartuje wcale.

— Zosieczko, rzekła druga, poprawiając podpięcie bogatej powłoczystej sukni, czy niemożnaby przy tem wielkiem lustrze, co stoi w twoim pokoiku, poprawić nadwerężony nieco stan naszych toalet?

Pani Apolinarowa spoglądała z osłupieniem na swoich gości, i nie mogła się zdobyć na wyrzeczenie jednego wyrazu.

— Jakże jesteśmy szczęśliwe, rzekła niemłoda jejmość, matka trzech wystrojonych panien, że kochana pani zdecydowała się

kiej, grywającej w jednym z większych ogródków piwnych przy ulicy Długiej.

Miłość prawdy wyznać nam nakazuje, że dyrektor ten, pod względem... elegancji nie dorównywa żadnemu ze swych kolegów. Nie nosi on fraka ani białych rękawiczek, nie fryzuje czupryny, i nie *tańczy* na estradzie, jak to czynią wszyscy szanujący się dyrektorowie obu półkul globu ziemskiego.

Zewnętrzność jego jest przeciwnie mało obiecującą; szary kubrak pokrywa jego plecy, ręce ma gołe i nawet wcale nie arystokratyczne, włosy jego wreszcie w prostych smętnych „á la wierzba‟ promieniach spadają na szyję i ramiona.

Towarzysze jego wyglądają tak samo—jeżeli nie gorzej jeszcze...

Ale w zamian za te powierzchowne przymioty, jakiż zapał niekłamany ożywia to filharmonijne kółko!

Jeżeli orkiestra gra polkę, to już tak, że nawet stoły i stołki zrywają się do podskoków—jak w owej legendzie o „Krawcu z Salerno‟...

Jeżeli walca—to wir szalony chwyta dusze i zmysły słuchaczów, niewiedzących czemu przypisać tę wesołość niespodzianą a potężną...

Ale nagle pustota pierzcha i ustępuje miejsca uczuciom uroczystym. Z estrady płyną dźwięki grzmiące, miarowo odcinane, huczne, pełne. Niby kawaleryjskie konie tętnią w takt muzyce, niby piechota wali stłoczoną falą, niby harmaty toczą się groźne, złowrogie...

Wiarusowi ciągnącemu w kącie bawara, jeżą się przystrzyżone wąsiny—czapkę na siwym łbie przekrzywia na bakier—kościstą ręką w stół uderza, i mruczy:

— Raz, dwa... raz, dwa...

A potem wzdycha:

— Hej! Hej! bywało... bywało...

Po marszu następuje jakaś pieśń smętna—rozpłakana, skarżąca się i śliczna—tak prosta, że ją na fujarce pastuszek wygra...

Damy w czepkach suto garnirowanych i w kapeluszach z żółtemi kwiatami, obcierają ukradkiem łzy, kapiące im do szklanek z herbatą i ponczem—jakiś samotnik, „zalewający robaka‟ na ustroniu, stroi ochrypłe gardło i fałszywie wtoruje grającym...

Ale nagle grzmiący mazur rozprasza te mgły sentymentalne—i publiczność otrząsłszy się z „babskich‟ wzruszeń z podwojoną energją przypuszcza szturm... do bawara.

E sempre bene!

—

× Jednemu z amatorów używających kąpieli na Wiśle od strony Pragi, w dniu wczorajszym, skradziono rzeczy w chwili, gdy dostrzegłszy rzezimieszka, usiłował co prędzej wyrwać się z wody. — Niestety! niefortunny ów amator, odzyskał tylko... czapkę której złodziej schwycić nie zdążył. Czapka ta, leżąc na piasku,—zdawała się wyrzucać głowie że na umieszczenie reszty garderoby nie wybrała stosowniejszego miejsca, na galarze naprzykład.

—

× Na pociechę zwolenników „wstrzemięźliwości‟ a ku zmartwieniu ludzi przeciwnego obozu wytworzył się w Warszawie od pewnego czasu nowy rodzaj słodyczorobnych zakładów, które w założeniu swem wielce przypominają paryskie *crémeries*.

W zakładach tych wydają jedynie kawę, herbatę, szodo i czekoladę, nie licząc lodów i ciastek—niema zaś tam zupełnie napojów spirytualnych oraz wszelkiego innego napoju, do którego wchodzi bądź alkohol, bądź rum, bądź wino.

Niema tam także bilardów.

Do urządzenia tych cukierni o *skromnym* repertuarze przyczynił, się niewątpliwie wysoki podatek patentowy — cokolwiekbądź jednak, są one nowością, moralną misję spełniającą.

—

× Rozwijające się na całej przestrzeni Cesarstwa i Królestwa, postępowe gospodarstwo rolne, wpłynęło oczywiście na zwiększenie zapotrzebowań tak zwanych machin i narzędzi rolniczych, wyrabianych po największej części, dotąd przynajmniej, w fabrykach zagranicznych, przeważnie zaś amerykańskich i angielskich—chociaż pod firmę pierwszych i drugich podszywają się często i lichsze nawet wyroby niemieckie. Rozumie się że zwiększona nagle i zwiększająca się co raz bardziej, potrzeba takich właśnie machin i narzędzi wytworzyła zaraz wielką liczbę, tak zwanych agentów, czyli po prostu mówiąc, pośredników, pomiędzy fabrykami zagranicznemi a rolnikami naszemi, którzy jako komisanci owych fabryk, sprzedają jak najdrożej te machiny, które sami nabyli po najprzystępniejszych cenach. Agentura podobnego rodzaju, zapewniająca panom pośrednikom ogromne zyski, bez żadnej prawie ryzyki, stała się tak apetyczną spekulacją,że wkrótce mnóstwo przemysłowców rzuciło się do niej hurmem, a każdy głosił po gazetach i kalendarzach nawet, że tylko firma fabryki przez niego reprezentowanej, gwarantuje za dobroć, taniość, słowem za wszystkie najlepsze przymioty wyrabianych w niej a przez niego sprzedawanych machin. Z początku, rolnicy tak w Królestwie jak i na całej przestrzeni Cesarstwa, uwiedzeni ogłoszeniami i zachęcającą reklamą panów agentów, dawali się zażywać im bezpiecznie i kupowali z całą ufnością machiny i narzędzia rolnicze od tych, którzy nigdy w życiu na roli nogą nie postali, a nie ucząc się zgoła mechaniki, nie mogli też ani wybrać lepszego wyrobu ani wybranego ocenić.

Takim to sposobem rozmaite Bockey'e Jonstony, Ceresy i Bóg ich tam wie, jakie jeszcze zaatlantyckie lub tylko podrabiane za młocarnie, żniwiarki, kosiarki, szarpacze, drapacze, karczowniki i t. p. machiny lub narzędzia, zalały całą przestrzeń kraju od Wisły aż do Uralu prawie—przyczyniwszy się do wywiezienia za granicę ogromnych kapitałów, z których znaczne odsetki pozostały w kasach usłużnych pp. agentów, którzy z czasem, już szumne tytuły „jeneralnych‟ przybrali. Dopiero w lat kilka, gdy doświadczenia wykonane, nie na blichtrowych próbach po równem polu, lecz na powszedniej ziemi Bożej, pokazały że wszystkie te machiny i narzędzia, „mniej lub więcej są niepraktyczne,—gdy zwłaszcza rolnicy przekonali sie, że kupno tych przyrządów

---

wprowadzić Zosieczkę w świat, i nie zapomniała o nas w tak uroczystej chwili.

Podziwienie pani Apolinarowej wzrastało z każdą chwilą.

— Zosiu, rzekła najmłodsza z panien, dlaczegoż nie włożyłaś dziś na siebie tej niebieskiej sukni, w której ci tak do twarzy. Chodź, rzekła wesoło, zaprowadź mnie do swego pokoju, ja cię ubiorę i gdy już inni goście nadejdą, panna Zofia będzie mogła wystąpić *à quatre épingles*.

Zosia nie dała sobie tego dwa razy powtarzać, i na tak ponętną propozycję zerwała się żywo z kanapki, rzuciła pod stół pracowicie odrabiany haft, i w podskokach pobiegła z towarzyszką, by rozpocząć uroczysty akt przebrania się na dorosłą pannę. Położenie pana Apolinarego było nadzwyczaj krytyczne, i każda chwila pogorszała je coraz bardziej. Spoglądał bojaźliwie i pytająco na żonę, a nie mogąc nic z jej twarzy wyczytać, kręcił się po pokoju, chrząkał, przestawiał krzesła, doniczki na oknach, i byłby chętnie zabrał się do froterowania podłogi, byle tylko zejść na drugi plan, zyskać na czasie i nie narazić się na gniew żony

Nakoniec przesilenie musiało nastąpić.

— Polciu, rzekła pani domu, zapal dużą lampę, i proś panie do salonu.

Na to hasło zerwał się co żywo potulny małżonek i wkrótce potem nastąpił marsz tryumfalny do zimnego jak lodownia pokoju. Pan Apolinary pozrywał pospiesznie białe pokrowce z mebli, powlókł za sobą nieskończenie długi chodnik, a spełniwszy tyle bohaterskich czynów, powrócił do salonu by się zająć bawieniem dam.

W kilka chwil potem, wtoczyła się pani Sewerynowa z trzema synami i córką, a za nią pani Hipolitowa, z dwiema mocno przekwitłemi kuzynkami. Tuż za niemi przybył pan Kalasanty wdowiec, z licznem potomstwem, pani Rochowa z córeczkami i kilku młodych ludzi bywających w domu gospodarstwa, na Nowy Rok i na Wielkanoc. Słowem, salonik państwa Apolinarostwa, zaledwie mógł pomieścić licznych gości.

Pani Apolinarowa jęczała tymczasem w kuchni, wyrzekając nad niemożliwością urządzenia jakiejś *skromnej* kolacyjki, gdyż Jagusia, jedynna sługa, pełniąca obowiązki kucharki i pokojówki zarazem, podchmieliwszy sobie przy tłustym czwartku, spała w kącie, chrapiąc z całej siły. Trudno było ją obudzić, nie dbała ona w tej chwili o wszelkie marności światowe, a goście całego świata nie mieli dla niej żadnego znaczenia. Pani Apolinarowa szarpała ją bez litości, wydając coraz nowe i często niezgodne z sobą rozkazy—wszystko napróżno—dusza Jagusi uspiona zupełnie, nie poddawała się żadnym wrażeniom.

Co tu robić?...

Wyrzekaniom nie było końca, policzki gospodyni domu, przybrały kolor piwonji, z nadzwyczajnego wzburzenia i irytacji, a rozpacz jej doszła do najwyższej potęgi, gdy we drzwiach stanęli panowie, Karol i Feliks ze skrzypcami w ręku.

Nie było innej rady—a ponieważ należało koniecznie coś stanowczego obmyśleć, pan Apolinary został wydelegowany po wino i zamówienie kolacji na trzydzieści dziewięć osób, u poblizkiego restauratora.

Pani Apolinarowa nazajutrz zapewniła swego męża najuroczyściej, że ją ten wieczór,oprócz pieniędzy, sześć lat drogiego życia kosztuje.

— Wyobraź sobie, kochana pani, rzekła do niej pani Hipolitowa, byłyśmy już od tygodnia zaproszone do radcostwa, gdyż to jego imieniny, ale musiałyśmy odmówić. Pan Adolf, lokator wasz z 3-go piętra, zapewniał nas, że bylibyście państwo śmiertelnie obrażeni...

— A bodajże cię!... mówiła z cicha gospodyni domu, zgrzytając zębami—nie daruję ci tego, i zaraz jutro każę twoje graty na bruk wyrzucić!...

Zabawa odbyła się jak należy, i przeciągnęła aż do rana, a nazajutrz pani Apolinarowa zmęczona fizycznie i duchowo, spała do południa snem sprawiedliwych. Gdy się przebudziła, pierwsze jej wyrazy były.

— Trzeba wyrzucić na bruk, tego łotra Adolfa.

— Nie ma go już, odpowiedział mąż. Był u nas dziś rano, odniósł należność, i pożegnał się ze mną i z Zosią, gdyż wyjeżdza na prowincję objąć bardzo korzystne miejsce.

— Niech na równej drodze kark skręci! zawołała sapiąc pani Apolinarowa. Z łaski owego niegodziwca, zapłaciłam temu szachrajowi restauratorowi, całe sześćset sześćdziesiąt sześć złotych i groszy dwadzieścia dziewięć.

Dziewięćdziesiąt dziewięć rubli, kopiejek czternaście i pół—szepnął pan Apolinary i zadumał się głęboko, a Zosia wesoła jak ptaszek, rozmyślała nad tem, jak to dziwnie przyjemnym jest *wieczór*, gdy pan Michał dłużej potrzyma drobną jej rączkę, lub też pocałuje ją ukradkiem.

---

z drugiej a wielce chciwej ręki, niezmiernie drożej ich kosztuje, poczęli niedowierzać usłużnym i uprzejmym pośrednikom i wybierać z pomiędzy całej ich rzeszy takich którzy osobistą firmą i rzeczywistem znawstwem dawali jakąś i moralną i materjalną rękojmię.

W ostatnich już czasach znalazł się mechanik tutejszy niejaki p. Grubiński, który własnym pomysłem, opartym, rozumie się, na wystudjowaniu konstrukcji innych, zagranicznych machin, zbudował żniwiarkę, zwaną „Warszawianką". Ach! ta biedna Warszawianka! Ileż to ona gromów i szyderstw ściągnęła na siebie ze strony pp. agentów „jeneralnych" którzy z trwogą i zgrozą patrzyli na tę machinę krajowego wyrobu, mogącą ich pozbawić tylu i tak łatwych zysków! Pracowali też gorliwie i solidarnie nad jej zdyskredytowaniem, a gdy podczas próby, czyli tak zwanego „konkursu" w okolicach Warszawy, Warszawianka wskutek błahych przyczyn, poszkapiła się na roli, wtedy pp. agenci, jednym chórem wyrzekli na nią potępienie i zaśpiewali jej pieśń pogrzebową.

Niestety! radość ich trwała krótko — albowiem żniwiarka ta poprawiona następnie nieco, na innych walniejszych i nawet za granicą dopełnionych konkursach, zwyciężyła swoje zaatlantyckie i kontynentalne współzawodniczki — a na domiar oburzenia panów „jeneralnych" anglo-amerykańsko-niemieckich agentów do sprowadzania machin i do wyrobu narzędzi rolniczych, zaczęli się brać sami rolnicy, którzy i charakterem obywatelskim i znajomością rolnictwa, dawali stokroć większe gwarancję. Jeden z takich składów, mianowicie pod firmą Prądzyński i Trylski, założył nawet okazały skład swoich machin i narzędzi rolniczych przy ulicy Miodowej—lecz nie w podwórzu zabudowań po-kapucyńskiego klasztoru — gdzie Bockey'e, Ceresy, Jonston'y i t. d. stoją w „jeneralnej" agenturze, ale naprzeciw prawie, w dziedzińcu przechodniego na Podwal, pałacu Dyzmańskich.

Wkrótce potem, jeszcze jeden były rolnik, p. Zygmunt Damięcki we wspólce—otworzył także skład Machin i narzędzi rolniczych przy ulicy Erywańskiej tam gdzie dawniej słynny powoźnik Romanowski mieścił swoje warsztaty—i któż wie? może z czasem, gdy ludzie istotnie specjalni i rzeczywiście sumienni zajmą się, bądź agenturą zagranicznych fabryk, bądź co lepsza, wyrobem w kraju, takich rolniczych machin i przyrządów, któż wie, czy cały ten kraj.... tak rozległy i dziewiczy jeszcze, w oddalonych zwłaszcza guberniach, nie stanie się dla spekulantów na tem polu, twardą i niewdzięczną rolą?

—

× Rozkosznie jest odpoczywać na łonie ukochanej przyrody, cieszyć się latem co odziało drzewa w liście i owoce—pola w złociste kłosy zbóż wszelakich, co na łąki rozsypało pełną garść trawy, kwiatów, ziół i... prosiąt. Jednem słowem rozkosznie jest przepędzić kilka miesięcy na świeżem powietrzu i używać tak zwanego letniego mieszkania.

Rozkosz ta nie jest bez korzyści i pod względem moralnym, bowiem brak artykułów spożywczych wyrabia wstrzemięźliwość — chodzenie po głębokim piasku jest umartwieniem dla ciała, a komary i wszelkie inne owady uczą znosić z pokorą dolegliwości tego świata. Nic więc dziwnego, że nie tylko filozofowie i uczeni, bogacze i biedni poczciwcy, ale nawet złodzieje wyjeżdżają sobie na willegiaturę, ażeby na świeżem powietrzu sztukę swą praktykować.— Jedna z takich praktyk odbyło się w tych dniach w Brwinowie, gdzie zręczni pracownicy wytrycha oporządzili piwnice, unosząc ztamtąd wszelkie zapasy spiżarniane, pozbawiając chwilowych obywateli Brwinowa przyjemności jedzenia, aż do nadejścia z Warszawy świeżego transportu.

—

× Dalszy ciąg i dokończenie Hotelu Europejskiego, t. j. olbrzymiego budynku wznoszącego się na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Czystej, rośnie rzecz można „na drożdżach".

Piwnice i parter zupełnie już ukończono, pierwsze piętro zaś lada chwila wychyli się z poza parkanu, osłaniającego tę całą fabrykę ciesielską i murarską.

Niedługo zatem przybędzie miastu jeszcze jedna ozdoba, która *załata* (przebaczcie wyraz trywjalny!) szczerbę szpecącą dotychczas ogólny całokształt miejski.

—

× Jakaż przepaść rozdziela dobre chęci od... dobrych uczynków!

Gdyby nie to, Warszawa oddawna już byłaby rajem—a że nie jest nim, o tem wiemy wszyscy, ale, wszyscy!...

Co jednak należy począć, żeby tę przepaść uczynić możliwą do przebycia?

Sądzimy, że najlepiej byłoby nakryć ją mostem zbudowanym z *pracy* i *wytrwałości*...

Recepta to nieco trudna do wykonania, ale za to niezawodna—polecamy ją zatem szczerze wszystkim apostołom „dobrych chęci" a w szczególności tym, którzy zajmują się od lat kilku przyozdabianiem naszego miasta w malowniczą i hygieniczną sukienkę zieleni...

Oglądaliśmy ich dobre chęci, a raczej drzewka, pozasadzane ich ręką, na Nowym świecie, na Chłodnej i w innych punktaah naszego miasta... Jakże mizernie one wyglądają! jakże mało nadziei budzą nawet na przyszłość!

A jednak zapełnienie miasta świeżą roślinnością bo kwestja nader ważna dla zdrowia publicznego—należałoby zatem w wykonaniu jej nie zaniedbywać dwóch wspomnionych wyżej czynników: *pracy* i *wytrwałości*.

—

× W dniu wczorajszym przeciągał przez nasze miasto tłum pobożnych udający się do Częstochowy z pieśnią na ustach i tłomoczkami na plecach. Około trzysta osób należało do tej pielgrzymki.

—

× Oddawna publiczność uskarża się na drożyznę lokalów, a prasa ostro występuje przeciwko chciwości właścicieli domów. A oni? Oni—wzruszają ramionami i z początkiem każdego prawie kwartału podwyższają komorne — bo czyż nie mają prawa korzystać ze swej własności?

Oswoiliśmy się już potrosze z tą ich praktyką— sarkamy i płacimy, a im kto uboższy, tem drożej płacić musi.

Obecnie zaznaczyć winniśmy nowy wyzysk, któremu świetnej pomysłowości odmówić niepodobna.

Czy uwierzyłbyś czytelniku, że na ulicy Browarnej, Lipowej i innych bliższych powiśla, właściciel domu często pobiera rocznie komornego, notabene za jedną ciupę mieszczącą się pod strychem—720, wyraźnie siedmset dwadzieścia rubli?

Uśmiechasz się, a jednak nie żartujemy wcale i wyjaśnimy to zaraz.

Izba taka dość obszerna, rozdziela się od dołu do szczytu na przegródki, zupełnie tak samo, jak szafka na książki lub utensylja kredensowe. Otóż w takiej izbie mieści się bardzo często do czterdziestu przegródek, a każdą taką przegródkę zapełnia figura ludzka, szukająca w niej noclegu.

W jednej zatem takiej izbie, mieści się czterdziestu ludzi nie posiadających własnego dachu, żyjących z dziennego najlichszego zarobku. Ponieważ właściciel ciupy pobiera od każdego lokatora przegródki pięć kopiejek za nocleg, więc ta przynosi mu dwa ruble dziennie, sześćdziesiąt miesięcznie, czyli 720 rubli rocznie! Ładna sumka! możnaby za nią nająć w Warszawie na pryncypalnej ulicy, mieszkanie złożone z czterech pokoi z kuchnią. Nie prawdaż że niezła to wcale spekulacyjka?

Wprawdzie lokatorowie takiego „kojca" duszą się w nim od gorąca i wyziewów, zwłaszcza podczas lata, ale przecież nie mogą wybredzać płacąc za łoże, słomą podesłane, tylko pięć kopiejek!

— W podpisie „artykułu nadesłanego", o „Strasznym Dworze" Moniuszki, który zamieściliśmy we wczorajszym numerze „Antraktu" zaszła pomyłka, zamiast bowiem *H*anowski, czytać należy *Janowski*.

OGŁOSZENIA.

WIELKI SKŁAD MASZYN DO SZYCIA

D. GROSSMANA

Posiada **maszyny z najpierwszych fabryk zagranicznych**, za których trwałość poręcza. **Ceny umiarkowane.** W Filji tej firmy, otworzonej na Krakowskiem Przedmieściu w domu Prechnera, na 1-em piętrze, oprócz **wyborowych Machin do Szycia**, i wszelkich przyborów, osoby pragnące wydoskonalać się w szyciu na Maszynach znajdą swobodne miejsce i dokładną instrukcję. 5—0—26

DO DRUKARNI

M. ZIEMKIEWICZA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, pod N. 415

potrzebny jest UCZEŃ, posiadający świadectwo z 3-ej klasy. O warunkach dowiedzieć się można na miejscu w kantorze drukarni. 28—5—3

6. Ulica Czysta 6.

(Wprost Saskiego placu)

Antoni Włodkowski

Nowo otworzony Skład dywanów, firanek i wszelkich materji meblowych, oraz wyłączny Skład materji jedwabnych czarnych, z fabryki C. J. Bonnet i materjałów wełnianych czarnych i popielatych. 27—0—9

RESTAURACJA
TOMASZA JASIŃSKIEGO

W dolinie Szwajcarskiej

Codzień zaopatrzona w najświeższe zapasy spiżarniane i piwniczne.

Przyjmuje obstalunki na śniadania obiady i kolacje po cenach umiarkowanych. 0—19

Magazyn Bławatny

J. Thonnesa

przy ulicy Senatorskiej w domu Piotrowskiego. Zaopatrzony jest zawsze w wielkie zapasy najświeższych towarów pochodzących z najlepszych fabryk francuzkich. W Pracowni tego Magazynu wykonywają się szybko, według najnowszych fasonów suknie i stroje damskie. Ceny umiarkowane. 0—19

Znany Handel Win i Towarów Kolonialnych pod firmą

Simon i Stecki

(dawniej Flatau)

w domu Bekera wprost Saskiego Placu na Krakowskiem Przedmieściu.

Odebrał znaczny zapas wina czerwonego z r. 1874, cenionego wysoko przez znawców. 6—7

Skład Bielizny

PAWLIKA

na Krakow. Przedmieściu w domu własnym. Posiada wielkie zapasy bielizny męzkiej i damskiej, oraz kołder i bielizny stołowej. Ceny umiarkowane, materjały wyborowe, robota trwała i najnowsze fasony. 13—3—16

Antoni Stępkowski

WŁAŚCICIEL ZNANEGO

HANDLU WIN i DELIKATESÓW

przy Teatralnym Placu

wyjeżdża w tych dniach **za granicę** w celu porobienia znacznych **zakupów Win** w **najpierwszych** Domach Francuzkich i w **najlepszych winnicach węgierskich.** Wiadomo, iż z powodu mroźnej w tym roku wiosny, winobrania wypadną niepomyślnie—wczesne więc tylko porobienie znacznych zapasów win z pierwszej ręki, postawić może kupców warszawskich w możności utrzymania umiarkowanej ich ceny. 8—0—17

SOWIŃSKI i SZULC

dawniej KOELCHEN

przy ulicy Długiej.

Towary Kolonjalne oraz Wina wszelkiego gatunku, otrzymuje z najpierwszych Domów Zagranicznych. 17—6—6

A. BOCQUET

Róg ulicy Wierzbowej i placu Teatralnego.

Zaopatrzył swój sklep we wszystkie **nowalje** obecnego sezonu, — przy czem piwnice, jak zwykle zasposobione są we wszelkie gatunki win **francuzkich, węgierskich, reńskich i szampańskich,** sprowadzone z najpierwszych domów Zagranicznych z pierwszej ręki. 3—0—10

W Łazienkach Akcyjnych

przy Nowym Zjezdzie

otwarte są codziennie, wyjąwszy Niedzieli, od godziny 6-ej rano.

PRYSZNICE
po kop. 10 od osoby

z zimnej lub ciepłej wody. Do każdego biletu wydawane są dwa ręczniki bezpłatnie. 7—4—5

Otworzona przed kilkoma miesiącami

Restauracja w b. Hotelu Angiels.

pod firmą

CONSTANT (Konstanty)

Przyjmuje wszelkie zamówienia na wystawne obiady, śniadania i kolacje zbiorowe. W sali i w oddzielnych gabinetach. 11—4—6

Znany od lat około czterdziestu

SKŁAD HERBATY

pod firmą

W. ISTOMINA

na Krakowskiem Przedmieściu w domu hr. Krasińskiego,

zaopatrzony jest ciągle w **najlepsze gatunki Herbaty Chińskiej sprowadzonej drogą lądową.** Waga sprawiedliwa, wybór najdoskonalszy i umiarkowane ceny, odznaczają zawsze ten Skład od dawna reputowany. 18—0—13

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY
J. Mieczkowskiego

ma zaszczyt uwiadomić Szanowną Publiczność, iż pragnąc oszczędzić czasu osobom oczekującym na następującą na nich kolej fotografowania się, urządził w tymże samym zakładzie drugie jeszcze atelier i powiększył zastęp zdolnych pracowników, pod osobistym dozorem samego właściciela. Reforma ta, oprócz wygody dla publiczności, powiększy nadto jeszcze i artystyczną wartość portretów fotografowanych, albowiem wiadomo jest z doświadczenia, że o ile twarze osób świeżo zasiadających do fotografowania się, są pełne ożywienia i naturalności, o tyle znowu rysy twarzy oczekujących zbyt długo na chwilę zdjęcia z nich portretu, przybierają cechę znużenia i charakter posępny. 1—0—15

Дозволено Цензурою, Варшава 14 Іюля 1876 г.—w Drukarni M. Ziemkiewicza Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

Wydawca, Aleksander Niewiarowski. Redaktor, Jan Mieczkowski.